

CIENIE ORŁÓW

720 G. K.

JÓZEFA ALEKSANDRA GAŁUSZKI:

Promień i grom — J. Czernecki, Kraków 1920.

(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

Biesiada kameleonów — Gebethner i Wolff 1921.

(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

Uśmiechy Boga — Gebethner i Wolff 1922.

Dusza miasta — Gebethner i Wolff 1922.

Gwiazda komandorji — Gebethner i Wolff 1925.

Ludzie bez twarzy — Gebethner i Wolff 1927.

Głosy ziemi — F. Hoesick 1929.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

CIENIE ORŁÓW

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ

PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

1932

PRZEDWIOSNIE

Nad sercem przelatuje pierwszy wiosny dreszcz —
piórkowe gałązki drzew nikłym splonęły rumieńcem —
przewiał w radosnym szumie srebrny wiosenny deszcz:
jeszcze skrzy się i iskrzy na witkach i pręciach.

Gdzieś w podświadomych głębiach, w ilach praczłowieczych
czuje się nagle tętna pulsujących źródeł:
to ziemia mówi w tobie tajemnicą wieczną,
gra w twojej krwi radosnym zmartwychwstania cudem.

Jeszcze chwila a serce zakwitnie szkarłatem.
Grzmia dzwony, huczą jak burza spiżowa:
To Chrystus zmartwychwstały nad umarłym światem
powiewa jak płomieniem chorągwią purpurową.

Jeszcze chwila! — zakwitniesz jak jabłoń i grusza,
nieświadom tajemnicy odrodzeń wieczystych —
zdumiejesz się nad cudem zbudzonej z snu duszy:
zmartwychwstaniesz w miłości i słońcu — jak Chrystus!

ZAŚLUBINY

Na złotej mszy solennej przy niemych klawiszach
usiadła w kwiatnych sadach śnieżno-biała cisza.

I gra: snują się białe akordy milczące:
kwitnące sady, niebo błękitne i słońce.

Pod białe palce ciszy w niemej klawiaturze
suna śnieżyste drzewa jak Anioły Stróże.

Jak dziewczęta w dniu pierwszej swej Komunii świętej
stoją drzewa pod ciszą niemych firmamentów.

Na rozkwitłe czereśnie, grusze i jabłonie,
jak akord białej ciszy, Bóg położył dłonie.

I oto kłęły drzewa na ślubnych kobiercach —
i w złotej ciszy słyhać, jak biją ich serca.

WNĘTRZE KOŚCIOŁA N. M. P. W TORUNIU

Świetlanej pamięci genialnego architekta-wizjonera, poety
i przeczystego człowieka, Stanisława Noakowskiego —
wiersz ten poświęcam.

Jak las palm skamieniałych, podniebnych i strzelistych
pnie trójnawy gotyckiej wstęgami wżwyz bieleją:
z królewskich snów wykwitły krzyżackich Wielkich Mistrzów
rozpiętą nad wiekami kamienną epopeją.

Stoją jak wbite w ziemię teutońskie nagie miecze,
jak białe archanioły pną skrzydła po sklepieniach —
zimne i obojętne na przemijanie człeczce,
Wielkich Mistrzów krzyżackich królewskie sny z kamienia.

Surowe i olbrzymie teutońskich rot brzeszczoty,
których nie zламаł Grunwald na krwawych swych rozłogach —
z królewskich snów dźwignięty las wichrów i las grzmotów:
kamienne błyskawice — kolumny tronu Boga.

LIPIEC

Pachnące lipy szumią strunami złotych skrzypiec —
z niebieskich stągwi zlewa miód szczerozłoty lipiec.

W słońcu białe topole mżą nikłym drzeniem listków:
snują się jak mgły nad ziemią, jak dymy srebrzyste.

U białych dróg czuwają rzędy włoskich topól.
Cisza i słońce. — Zboża już złote naokół.

Dnie jak ziarna różańca z złotego jantaru
gasną w szkarłatnych łunach słonecznych pożarów.

Nocą, jak drzewko boże, sklepienie niebiosów
osnuwa w mżach złocistych nić anielskich włosów.

Dwór jarzy się noc całą, gra aż po świt ranny:
nad nim swój płaszcz z gwiazd złotych chyli święta Anna.

SZARO-PERŁOWY ŚWIT

Z nad wód srebrzystych, leżących w mgłach sennie,
z nad szarych sylwet kóp pszenic i żyt,
wstaje cichutko, jak lekkie westchnienie
szaro-perłowy świt.

Na umęczone oczy nocą nieprzespaną,
zsieczone ostrem światłem i wirem tanecznym,
pryska kryniczną rosą jak Samarytanin
i osnuwa w mgły srebrne, w zadumę i wieczność.

W chłód lasu, w woń igliwia i wilgotnej ziemi,
w mgły tchnieniem zorzy dotknięte dalekiej,
w sen wód, w dalekość nieba, smugami srebrnymi
wysnuwa się doszczętnie duch z piersi człowieka.

Czepia się na rozstajach, jak nitki pajęczyn,
smutku sinych kolein, ciętych w piasku złotym —
jest niczem — może cieniem zagubionej tęczy,
może westchnieniem ziemi, a może tęsknotą.

W świt przetapia się dusza, w bolesny czar świata,
nienazwany, drgający na dalekich zorzach,
co jest pieśnią leżącą na umarłych kwiatach —
w świt, spadający z niebios, jak jasna lza boża.

POGRZEB MARSZAŁKA FOCHA

W re-kiem dzwo-nów żało-bnych, dzwo-nów z Notre-Dame
Ma-rna, I-ze-ra, Som-ma, Ver-dun —
w milcze-niu śmie-rei u wie-cznych bram
o wie-lki Sy-nu Fra-ncji, po-zdra-wia-ją Cię —
Ma-rna, Ver-dun — —

Sztandarem trójkolorowym jak płaszczem żołnierskim
przykrytą trumnę dźwignięto pod Triumfalny Łuk:
nad snem Jego śmiertelnym, nad snem bohaterskim
czuwał Żołnierz Nieznany i Nieznany Bóg.

Na lawecie armatniej, w naciśnieniu świata
płynie, nad serca wzniesiony jak złota monstrancja,
twój wódz zwycięski, co się z sławą na wieki pobratał —
Francjo, o Francjo!

Niosą trzy marszałkowskie za trumną buławy —
a polska mū buława nie była poślednią:
Iśniła na polach bitew jako piorun sławy —
z pod Kłuszyna, Kircholmu, Chocima i Wiednia!

Grzmiały salwy armat, gromkie jak Marna i Verdun!
Pod niebem szumią w wicherze skrzydła samolotów;
nad sławą twego Syna, nad Jego sercem lwiem
krążą — o wielka Francjo — twoje orły złote.

Drżą we łzach Jego słowa na kartach historii:
„Zwycięscy... bohaterzy... w największej bitwie świata...
w bitwie o wolność świata... sztandary wasze w glori...
w nieśmiertelnej glori!”

W re-kiem dzwo-nów żało-bnych, dzwo-nów z Notre-Dame
Ma-rna, I-ze-ra, Som-ma, Ver-dun
w milcze-niu śmier-ci u wie-cznych bram
o wie-lki sy-nu Fra-ncji, po-zdra-wia-ją Cię —
Ma-rna, Ver-dun — —

Panie Marszałku! — słyszysz: wiktorki sztandary
nad Twą trumną łopocą — to Marsyljanki zew!
ten krzyk o wolność świata, który zdławił cary,
wiejąc jako zwycięstwo, jako bunt i gniew!

To ojczyzna Cię żegna żalobna a dumna,
bo na wieki zostaje jej niezłomnym szańcem
Twa trumna!

To Francja Cię żegna, Twoja Francja!

Słyszysz ten wicher z płomieni i krwi,
co serce świata w szponach w słońce rwie:
„Allons enfants de la patrie,
le jour de gloire est arrivé!”

KRAKÓW Z KOPCA KOŚCIUSZKI

Na burych mgłach nad miastem jak okręt-widmo w chmurze
płynie pod błękitami Wawelu tron w purpurze.

Iglice wież kościołów w mżach błysków i rozjarzeń
majaczą, jak w kadzidlach, gotyckie relikwjarze.

Za czarnymi wieżami klasztoru na Bielanaech
upadło na Anioł Pański słońce na kolana.

I w kornem pokajaniu uderza w ziemię czołem:
na zmierzchu mgły-fiolety Bóg prószy gwiazd popiołem.

A miasto przez opary poczyna mżyć światłami,
jak brylantowa kolja, wciśnięta w czerń-aksamit.

Bicze pereł tryskają: lamp elektrycznych sznury.
Księżyc na piersiach nieba jak ryngraf lśni u góry.

Płynie hejnał marjacki Anielskiem Pozdrowieniem
wśród mgieł i gwiazd, jak wieków umarłych sen-westchnienie.

SCHUBERT

Kwartetem A-moll, niby uśmiechem miłości i śmierci
mówiłeś do mnie z za grobu dziś bracie-poeto:
w świętej zadumie głowa opadła mi na piersi
nad twą duszą-muzyką na krzyżu z gwiazd rozpiętą.

Ale krzyż ten bólem i nędzą na twojem życiu leżał:
byłeś biedakiem, jak twój patron Franciszek z Assyżu —
i z tobą się, jako z nim, Bóg w pieśni był sprzymierzył,
w pieśni miłości, w pieśni rozpiętej na krzyżu.

Mówiono dziś, że zmarł młodo jak bogów wybraniec —
że cię uniośł chłopięciem Goethego „Erlkönig“
i gnał z tobą ku śmierci jako obłąkaniec — —

Ja wiem, że dusza twa była z pieśni i promieni.

Mówiono o romantyzmie, czasach Biedermeier,
o dużych twych okularach o dziecka dobrych oczach.
Podczas kwartetu A-moll wszedłeś sam na salę,
w staromodnym tużurku stanąłeś na uboczu.

Widniałeś w cieniach tumu świętego Szczepana,
który przyniosłeś z sobą niby zabawkę małą:
archanioł bożym wichrem grał w tumie na organach —
ale ja wiem, że to serce, że serce twe płakało.

A w szklach twych okularów, jak w klepsydrze starej
miłość w ból przepływała, ból w miłość przeciekał,
jako wieków i czasów niezmiennie, wieczne miary
dla czującego serca, dla serca człowieka.

TWARDA ORKA

Pod górę, prosto jak strzelił, wślad jeden za drugim
ciągną, zarżnięte w ziemię, żelazne, lśniące pługi.

Nogi i grzbiety koni jak łuki mocno się prężą —
słysząc oddechy chrapliwe i skrzyp skórzanej uprzęży.

Spaloną, suchą ziemię prują lemieszem stalowe:
trud pracy je żarliwie zwarł z twardą glebą, skował.

Dwuletni ugór ubity setkami kopyt i racie
scalił się, związał i steżał, w litą się skałę zatracił.

Pługi suną powoli w strunach napiętych postronków:
ostrze drze pasmem grude i w suche bryłki roztrąca.

Pienią się w żarze słonecznym koniom i boki i krocza:
w pół góry trzeba koniecznie tchu złapać, chwilę odpocząć.

Czwórka za czwórką w chrzęście, w sprężeniu grzbietów prze-
[chodzi —
czuć ostry pot, bo upał zdarza się taki nie codziennie.

Ziemia z lemieszów się sypie i prószy pyłem suchym —
konie tną ogonami po lśniących zadach i brzuchach.

(Czarne gawrony i wrony daremnie czas tu tracą,
siedzą jak jezuici i w frakach dyplomaci).

W chrzęście czwórka za czwórką i pług sunie za pługiem:
ugór skibami się kryje jak łuską rdzawej kolezugi.

Dwa lata odpoczywał. — Dość! — Dziś do wieczora
kazał gospodarz ugór doszczętnie zorać.

POWRÓT

Jerzemu Polańskiemu

Srebrno-zielone zboża na łąkach wszechprzestrzennych
szumią w świetle księżycy jak umarła wieczność.
Jedziemy w noc lipcową księżycowo senni:
biały gościniec sunie w dal jak Droga Mleczna.

Z pod kopyt siwych klaczy wstaje pył leniwy,
czołgając się przy ziemi za lekkim pojazdem —
wiatr pędzi senne fale przez srebrzyste niwy —
na zmartwiałe źrenice proszą srebrne gwiazdy.

Niebo nad horyzontem drga senną powieką:
smugi letnich błyskawic zapala i gasi —
Jakże do gwiazd Twych, Boże, niezmiernie daleko —
i Tobie jak daleko do smutnych serc naszych!

Jak one błyskawice bezgłose w nas wstają
cienie wspomnień: srebrzyste księżycowe echa:
smutki dalekich spojrzeń wgłąb utraconych rajów,
bolesny czar umarłych oddawna uśmiechów.

Bór szumi tajemnicą serc i wód bezdennych,
chłonących ból gwiazd i smutek kresów ostatecznych.
Srebrno-zielone zboża na łąkach wszechprzestrzennych
szumią w świetle księżycy jak umarła wieczność.

ŻNIWA

Szepczą kłosy pszeniczne: złotym szmerem proszą
w ówierk świerszczy. — Szumią sennie niw złocistych fale.
Słychać ostry chrzęst sierpów i szelest powróseł.
Żarki sierpień na niebie złoty stos zapalił.

Żniwiarze się nurzają w szemrzących zatokach
pod chrzęstem nastroszonych pióropuszy kłosów:
twarze na bronz spalone, wparte w ściernie stopy
żyłaste i ścięgniste, twarde stopy bosc.

Bołą krzyże. — Pot ścieka smugami wzdłuż grzbietu.
Lepią się przepecone do pleców koszule.
— W pocie czoła pożywał będziesz człeku chleb twój —
każdy kęs krwią zaprawisz i trudem i bólem.

Szorstkic dlonie, pokłóte od srebrzystych ostów
pod ostry księżyc sierpu garść za garścią garną —
na ściernisku pod słońce kładą złote mosty
z chrzęstnych kłosów i złotem dzwoniącego ziarna.

Wiążą snopy w szeleście skręcanych powróseł —
ustawiają w kopice: za dziesiątkiem dziesiątek.
Ziarno twarde z plew kłosu wyłuskujesz jak z łusek:
żrałe, ciężkie, złociste, jak dukaty dzwoniące.

Dzień złoty się przelamał w pryzmacie wieczoru
w popiołowe szafiry i we mgły fioletów.
U rzęs zwisa wspomnienie niedosiężnych borów,
pełznących jak ból ziemi ku sercu poety.

Nad dachami kamienic, jak kul lotna salwa
śmiga z piskliwym świrem jaskółek gromada —
i budzi sen o morzach dalekich i palmach,
a sen jak popiół szary na oczy opada.

Przez oświetlone z wewnątrz ubogie witraże
słysząc śpiew pensjonarek: „Zmiłuj się nad nami!”
Nad smutkiem i goryczą niespełnionych zdarzeń
chyli się niebo, cięte wpoprzek antenami.

Kaplica, śpiew, witraże... Ileż to lat, ile?:
białe, jak śnieg, ekstazy... tęcze piór anielich...
Człek się zcziszył, przygarbił, ku ziemi pochylił
a Bóg w pryzmacie serca w mrok i ból spopielił.

W tętnie krwi i w serca radosnym, mocnym rytmie
dźwigacie się w wspomnieniach i powstajecie zmartwych:
olbrzymie, naciszone w porannych zórz modlitwie,
niebiosiężne, królewskie, umiłowane Tatry!

Wśród kosodrzewin grają srebrzyste dzwonki owiec:
snuje się hen ku szczytom ten pacierz zórz różanych.
Na sen niebieskich jezior z pod wpół przymkniętych powiek
patrzy, jak sęp z wysoka, posepny, czarny granit.

Chłód powietrza, jak wody z ust lodowcowych krynic —
i słońce, jasne, promienne, jak miłość szalone — —
Zdumienie, na cud rozwartych, nienasyconych źrenic:
turnie, wystrzelające w niebo kamiennym pionem.

Potwornych brył granitu ruiny i zwaliska,
jak potrzaskanych świątyń kolumny i wieżyce:
gigantów-bogów wieczne walk pobojuwiska —
kamienne runy kłęski tragicznej i zwycięstw.

Skaczymy jak po bryłach rozbitych sarkofagów —
żelazo kutych butów w kamień się wżera zgrzytem —
uderza, dźwięcząc, w granit stalowy dziób ciupagi:
idziemy roześmiani ku wichrom i błękitom.

Szumi nam nad sercami, jak orzeł, młode szczęście —
u szczytu wicher wali jak burza w nasze piersi:
idziemy wzwyż ku słońcu, radośni, wniebowzięci,
szaloną, mylną drogą miłości i śmierci.

Druhu serdeczny, Bracie! — Czy to Ty w tej trumnie
odechodzisz w żalnej nucie góralskiej kapeli? —
jakoś tak po królewsku i chmurnie i szumnie?
Czyś to Ty się tak przez śmierć ponad śnieg wybielił?

Tatry spłonęły złotą sreżogą słoneczną:
stoją jak huf rycerny w złocistych zbroicach.
Czyli Ciebie żegnają na drogę Twą wieczną —
Ciebie, Bracie serdeczny? — jako królewicza?

Placzą Cię ciche bobry w poleskich żeremiach,
oczerety i drzewa i mszar złotoruny,
żeś się w sercu Swem młodem zciszył, żeś oniemiał,
jak dąb królewski, z niebios zwalony piorunem.

Zew krwi już Cię nie wezwie w ostępy i knieje —
ku ostrowom wśród mszarów i grząskich mokradel.
Śnieg tej zimy dla Ciebie na wieki zawieje
na ponowie trop lisi i zajęcze ślady.

Już Ty na wielkich wodach błękitnej Prypeci
furkotu skrzydeł kaczek dzikich nie usłyszysz,
ni gon ogarów w kniei Ciebie nie doleci
z dalekiej, nieobjętej, zasłuchanej ciszy.

Darmo mszar osrebrzony księżycową rosą
zabulgotce namiętnie od pieśni cietrzewiej —
darmo ptak jak duch przemknie przez gwiazdne niebiosa,
duch bagien lubelpolskich: ptak z złota i bieli.

Nie staniesz już pod pieśnią królewskiego głuszca,
grzmiącą we mgłach przedświtu jak dźwięk kastanietów.
Nie zasłucha się w Tobie, nie zaduma puszcza,
niby wieczność w wieczności, w zadumie poety.

Nie legniesz w czólnie, twarzą zwróconą ku niebu
patrzeć w mrok gwiazd: w mrok serca Boga i człowieka.
Płyniesz w trumnie jak w łodzi w chorałach pogrzebu,
ale na oczach Twoich trumny czarne wieko...

POSTÓJ PRZYMUSOWY

Deszcz mży w szarym śnie zmierzchu. — Smutek jakiejś stacji i spojrzenie spłowiełe przez szyby wagonu. Czas się jak nitka splątał i w pustce zahaczył w sennem oczekiwaniu na pociąg spóźniony.

Szare pliszki na szynach skaczą w mży deszczowej. Ciszca sępi się w nudę jak życie bez marzeń. Zmierzch osypał popiołem pochylone głowy, szare pliszki i szare twarze kolejarzy.

Wagony towarowe jak mdłe dni żywota odsunięte w niepamięć, w dal, na boczne tory — żal je cichy i smutek w mgły zmierzchu omotał: mżą w deszczowej omroce jak szare upiory.

A szyn klingi stalowe, wcięte srebrem w przestrzeń, jak w zczerniałą twarz świętą Panny Częstochowskiej, umarły, wyciągnięte w świat, w słońce i szczęście... Toną w omgle zmierzchowej i deszczu łzach gorzkich.

Nad przestrzenią chłonącą serc i tęsknot strzępy w jakąś zwykłą, zszarzałą, sierpniową niedzielę, zabłąkał się w sen zmierzchu i jak kruk zasepił szarousty spowiednik: zgorzkniały Popielec.

WYŚCIG SAMOCHODOWY

I owo tępe, głupie, nerwowe czekanie...
Wozów przeszło pod górę już parę tysięcy,
a człek tkwi tu jak kamień.
Deszcz mży — trasa mokra —
nuda: motorów warkot
i gęby tych pokrak.
Prędszej, byle prędszej — psiakrew — prędszej — prędszej!

I wreszcie ten zryw
ze startu:
z pod kół bryzg żwiru i miot —
gaz, gaz, pełny gaz!
Stalowy runął gryf
w lot
w pęd!
Jęczy las:
łomot, huk, grzmot, grzmot, grzmot
motorów!
rzzrzzrzzr! skręt!
A teraz pęd!
ryk kompresorów —
skrzydlatych brontozaurów lot —
wichru świst —
motorów grzmot
i żwiru bryzg
i miot —
lot!

rzzrzzrzz! — skręć!
I znowu pęd — pęd!
znów wyją kompresory
i trzysta koni grzmi —
stalowy leci pocisk!
Motorów rwie nas poryw!
To my, to my, to my,
dzisiejszych dni
szaleni Don Kichoci!

A dla was z wyżyn trybun krążymy na wirażach,
jak pieniąż wkrąg puszczone po brzegach misy z srebra.
Nam wicher jak mokra gąbka zamazał wasze twarze
i tylko grzmot oklasków, jak serce gra po żebrach.

Widzicie jak nas miota
pęd na wirażach „ściętych“ —
jak wóz na koła mota
srebrzysty film serpentyn.

Nazwiska — czas: zwysoka
skanduje wam megafon —
a bieg nasz tniecie okiem
wzdłuż słupów telegrafu.

I tylko tym, przy trasie
martwieje zgnąła pierś,
gdy tuż na pełnym gazie
przeleci w wicherze śmierć!

Gaz! gaz! pełny gaz!
motor jak burza gra
i burzą huczy las —
upiornym rykiem lwa
kompresor gra —
i pęd! pęd!
skrzydlatych brontozaurów lot —
wichru świst —
motorów grzmot —
i żwiru bryzg
i miot
lot!
rzzrzzrzz! — skręć!
A-a-a-a-a-a!

KRZYŻ

Od duszy własnej, od serca, od szeptu sumienia
uciekanie w szalonych expresach i autach —
gorączka wam w zrenicach i oblęd lęku skrzy:
na siwych horyzontach z pod niebios sklepienia
ściga was z wież kościelnych, nad ziemią wszecz rozwarti
MÓJ KRZYŻ!

Nad bezmiar oceanów, trawieni nieb tęsknotą,
zrywacie się jak ptaki w niesiężne światów dale,
między słońcem a niebem mknąc na powietrznych wyżach:
od rozpostartych skrzydeł zuchwałych samolotów,
jak na ginących wiekach sunie na szarych falach —
CIEŃ MEGO KRZYŻA!

A kiedy was szaleństwo w głusz międzyplanetarna
poniesie, jak rozbite — przez błękit — meteory,
by strzaskać harde czaszki o srebrnych lądów spiż —
to w wieczność was pochłonie, wiecznością was ogarnie
płonący nad światami, na szczytach gwiazdozbiorów —
MÓJ POŁUDNIOWY KRZYŻ!

W DOLINIE ZŁOMISK

Poznaję Cię po ciosach Twej straszliwej pięści,
po zdruzgotanych w bryły, w piarg twierdzach z granitu!
Tuś, o Wszechmocny Stwórco, Swe tryumfy święcił —
tu Twe królestwo: w światach z kamienia — rozbitych.

Poznaję Twoją rękę, straszny cios po ciosie,
w rozprutych przepaściami granitowych ścianach —
tuś z oszalałych niebios w żywiołów chaosie
rył piorunami twarde Twoje przykazania.

Królestwo śmierci wkoło i cisza cmentarna,
ale o Tobie, Stwórco, krzyczą te kamienie,
zmiażdżone w Twoich wicherów i piorunów żarnach —
Wszechmocny Władco gromów i Boże zniszczenia!

Tuś na kolana rzucił i w proch starleś czoła
strzelistych wież i turni, co darły się w niebo —
tuś je strącił przekleństwem, jak pychy aniołów,
tuś je w ruin cmentarzach po wieki zagrzebał.

I trwasz nad ruinami, o Boże przemocy,
berłem śmierci i gromów nad ziemią włodarzysz!
Samotny jestem! — Wierzę! — Lecz zakrywam oczy,
bo nie chcę, nie chcę widzieć Twej straszliwej twarzy!

ZACHÓD SŁOŃCA

Żonie mojej

W jeziorze słońce: Na wód kryształowej misie
trzyma Salome głowę proroka uciętą:
z arteryj wciąż się sączy krwi szkarłatnej wysięk
na srebrną ciszę wody, na czerwień odmetów.

Strugi krwi się płomienia i wicherzą i wstęzą.

Salome w mgieł liljowym na głowie woalu
w hypnozie ocz zielonej jadowitych węży
rozkrwawionych ust żądza chyli się nad falą:

Wypija z ocz proroka zgasłych wieszczą lunę
(w której jarzy się w słońcu zmartwychwstały Chrystus)
i składa na powieki śmierci pocałunek.

Tatarak drży jak kity na hełmach gwardzistów.

GOŚCIERADZ

Wartkim, odgłębnym nurtem Brda w jarze szeleści —
chłód poranka się tai w gęstwie olch i leszczyn.

Ziemia pachnie wilgocią i szronem — jest wrzesień:
na giętkich prętach leszczyn lśnią perły orzechów.

Gąszcze tarnin nabite gradem jagód czarnych —
krzaki ostów skrzą w puchach jak srebrne latarnie.

W debrze, w wysokich trawach tuż pod berberyssem
myszkują psy — wiadomo: stare jamy lisie.

Pola zorane, ściernie, niby słuckie pasy
ciągną się w świat daleko po tucholskie lasy.

Na miedzach głązy: biały i czerwony granit,
przyniesiony w lodowcach ongiś z Skandynawji.

Snuje się granitowy ów różaniec wieków
zamyśleniem, zadumą przez serce człowieka.

OGRÓD W MGLE

Pnie wapnem obielone suną przez siwe mgły w sadzie —
w szarzynę nieba wnika kamienna szarość renet.
Śliska, omglona ścieżka w gęsty maliniak prowadzi,
zawichrzony omokłą, zmętniałą zielenią.

Na wilgotnem listowiu, wśród giętkich, wysmigłych prętów
drżą siateczki pajęczyn z pereł zszarzałych, umarłych.
Maliniak w pajęczynach, w mgle, jak zapomniany cmentarz
drzemie, z ciemnym uśmiechem na malinowych wargach.

Kapusty mżą w fioletach, jak w adwentowym ornaście
haftowanym perłami (z spróchniałych trumnisk biskupich).
Ule szemrzą niemrawie swój różańcowy, mdły pacierz —
Z nawilgłych, zwiędłych liści i z ziemi bije woń trupia.

W chmurach nawisłych nisko wronie watahy się tłuka,
rozwłóczą czarne wrzaski we mgłach szeroko, daleko.
W pień sosny kuje dzieciół: rytmicznie głuchy grzmi stukot
w trumienne wieko.

MATKA BOSKA ZIELNA

Gorzki ziół zapach i woń, śmiertelna woń kadzidel
snuje się nad dniem złotym, od świerszczy dzwoniącym.
Wzrok się czepia żalobnic aksamitnych skrzydeł
i leci nad kwiatami po barwistej łące.

Dzień najpiękniejszy w roku, złoty melancholją,
pełny dalekich wspomnień, jarzębin i astrów...
(pod studenckim mundurkiem jakże serce boli:
wnet odjeżdżać już trzeba do smutnego miasta).

Wozy z dworskim ziół wieńcem wałą w cztery konie.
Odpust: loterja w rynku w najbliższym miasteczku.
Los wygrany! — grzmi dzwonek! — Wznoszę małe dłonie:
szklaną, lśniącą Pasyjkę los podaje dziecku.

I krzyż się ów na życiu mem położył cieniem
w dzień najpiękniejszy w roku, złoty melancholją,
pełny czaru i bólu, jak nokturn Szopena,
schylony miłosiernie nad człowieczą dolą.

Dziś znalazłem zrdzewiałej podkowy ułomek,
zagrzebany w kurz gruby białego gościńca.
Nie przybiję go jednak na progu przed domem —
mego rdza przeżartego, ułomnego „szczęścia“.

KRASNOBRODZKIE STAWY

Szeroką wstęgą wód niebieskich ciągną się srebrne stawy —
ciche jak sen, senne jak świt, widny przez szyby bławe.

Ujęte miękko, jak szafir w złoto, w piachów złociste obrzeża
w sosnowych borów szumnej kolebie wpółsenne stawy leżą.

Na wód źrenice: lustra srebrzyste: na ich dogłębny letarg
żabie kumkanie płynie zdaleka w tonach okaryn i fletów.

Czasem karp przetnie jak dyjamentem pletwą kryształu tafłę —
to nad przybrzeżną czarnych olch kępą zakwila w niebie czaple.

Tu wprost... przez wodę... (pni czarne progi)... Pod stawów tych
[spokojem
śpi trakt odwieczny, śpi ciszą mogli, trakt z czasów szwedzkich
[wojen.

Zmilkł już od wieków na martwym trakcie chrzęst zbrój i tętent
[kopyt —
ostał na piachu, wryty głęboko ślad twardej chłopskiej stopy.

Ponad rycerską zmarłą legendą bitew, sztandarów i sławy,
w słońcu i ciszy niebieską wstęgą snują się rybne stawy.

NOCNA BURZA W TATRACH

Grom po gromie w Tatr turnie wali jak kanonada.
Noc wyje wichrem halnym, błyskawicowowłosa:
po szybach chlaszcze deszczem, żelaznym siecze gradem,
rozdziiera piorunami skrwawioną pierś niebiosów.

Gdzieś z Kościelca, z Swinicy, nad Czarny Staw z Granatów
leci z szumem straszliwym upiorny ryk wichury.
W czarny mąt, w kotłowisko burzące się nad światem,
wala się czarci z pękniętych piorunowych sznurów.

Taraszą z trzaskiem smreki. I warjatów zgrają
leczą z chichotem, wyciem, z wrzaskiem nad schroniskiem:
łomotem kutych butów wraz na dach spadają,
tłuką w gonty, jak cepy żelazne w klepisko.

A tam pioruny siekają i stalowe echo
jak armat kanonada wali w granit, w granit.
Szum i ryk huraganu, gromów huk i grzechot
kłębi się pod Zawratem, jak w piekła otchłani.

Noc cielskiem chmur i wichrem do szyb się przyparła —
zbudzonych ludzi ślepi przeraźliwym gromem.
Serce tłucze się głośnie i skacze do gardła,
a usta bezwiednie szepeją: „Pod Twoją obronę...”

JESIEN

Wśród złota idę, wśród złota, wśród umarłego złota
złocistowłosa, niebiosooka, w koralach jesień-tesknota.

Usta me gorą jarzębin żarem wśród umarłego złota —
w jedwabne szale, w błękitne szale tulę się jesień-tesknota.

Ciało me pachnie astrów goryczą, piersi jak żrałe owoce —
na złotem tkanych perskich dywanach przesypiam gwiazdne,
[złe noce.

W przepych mych piersi jad się węzowy uśmiechem śmierci
[wzera:
w milczeniu złota, w blaskach klejnotów jak Kleopatra umieram.

KRASNOBRÓD W MGŁACH JESIENNYCH

Z rdzawo-brązowych brzośców, ze złotych jaworów
spływają we mgłę liście: liście-upiory.

Na stawach bezszelestnie snują się jak larwy
miedziano-złote liście: liście umarłe.

Stawy, we mgłach czerniały, jak trumny olowane
chylą się pod lży liści: pod liści złoty lament.

Park umarł. — Strach się czai we mgle na pustych ścieżkach:
z za pni czarnych pół-licem wychyla się o zmierzchu.

Dwór się slania pod cichy umarłych liści lament.
W arkadach znów widziano zjawę Białej Damy.

Nasiąkam gorzką, rdzawą trucizną złotej jesieni
 jak gąbka napojona żółci goryczą i octem,
 wydzwignięta na trzcinie ku krzyżowi w zenit
 pod Chrystusowe usta: dojrzałe w śmierci owoce.

Szloch wichru w żółkłych liściach, w ciemnych koralach jarzębin
 woła ku martwym drogom: twarz zwraca ku dniom wczorajszym.
 Belkot podziemnych źródeł zasłyszysz z trwogą od głębin:
 miot gwiazd w znużone oczy zimną wiecznością cię straszy.

Z cisy przemijań wiecznych: z szelestu zeschniętych liści,
 z lasów na horyzontach, które ból dali omotał,
 wyciąga długie palce (jak białych syberyjskich
 chartów pęd śmigły) — cicha, trująca śmierć-tesknota.

Skrzydła szumią pod niebem: dalekich siwych oceanów
 wieczność szumi w rytm skrzydeł ptaków ciągnących ku słońcu...
 Drżymy w wicherze jak liście. W srebrzystych szronach nad
 [ranem
 szeleszczą złote dłonie wśród liści spadających.

Cieniom Kochanowskiego

Na polach głucha pustka. Plony zwiezione do stodół.
 Od lasów patrzę tak smutnie śmiertelne mgły-przybłądy.
 Człek jako źdźbło przed wiatrem, i czas ucieka jak woda:
 na księgę pada liść zwiędły...

Jesienne, skośne słońce złotemi struny lutni
 przez lipy czarnoleskiej przesącza się listowie:
 gra nad czoła zadumą i ciszej wciąż i smutniej,
 sunąc jak pająk złoty przez Psalterz Dawidowy:

Gdzie twoja miłość? — gdzie kochanka?
 szalona Lidja, kortezanka?
 Gdzie wino i błękit?
 Gdzie druhy królewskiego dwora?
 Szklenice Hiszpana doktora?
 — Poeto mileńki?

O lipo! — co mi byłaś i cieniem i krzyżem!
 Lipo, lipcem szumiąca złotych pszczół ulewą —
 czemużem się ku tobie tak sercem przybliżył?
 Czemużem się w tej ziemi jako ty zadrzewił?

Jam jest robak przed Pana obliczem świetlistem,
 a wysłuchał mnie Pan mój w zły dzień utrapienia —
 jam jest w Nim jako w wicherze najędzniejszy listek,
 a mdłe ramiona moje wybawił od brzemion.

Gdzie córa? — Gdzie Safo słowieńska?
 Słowiczek, co ucieszenie klaskał,
 jak struny luteńki?
 W giezłeczku i w licej tkaneczce
 odeszła, a odeszła wiecznie
 — Poeto mileńki!

O lipo! — ile mych łez widziałaś daremnych,
nad bólem mym się chyląc i szumem i cieniem.
Płakałaś jako matka i siostra wraz ze mną,
otulając mnie ciszą jak czułem ramieniem.

Wrosłem w ziemię i w niebo: w dwie żywe wieczności
— jako ty, siostrze miła — w dwie ojczyzny wieczne.
Pan rozpostarł nade mną Pieśń, jak cichy kościół:
pod Jego bowiem pióry ułęczesz bezpiecznie!

Jesienne, skośne słońce złotemi struny lutni
przez lipy czarnoleskiej przesącza się listowie:
gra nad zadumą serca i ciszej wciąż i smutniej,
prósząc jak popiół złoty na Psalterz Dawidowy.

DNI JESIENNE

Pawłowi Hulce-Laskowskiemu

I idą dni szare
za dniami niezmiennie
nacichle przygasłe wpółmierzchle i senne
jak w krepach złociste sztandary:
żałobne dni szare
jesienne...

I wloką się mgielne
jak dymy kościelne
i suną nad ziemią jak duchy
dni smutkiem nabrzmiałe i bólem
dni mgliste jak bielmem
ośleple staruchy
odziane w koszule
śmiertelne...

I suną dni senne
jak ziarna różańca
w pośliskłych schorzałych mdłych palcach —
jak słowa spłowiałej nowenny —
jak ciche miarowe tykanie zegarów
nieważkie codzienne
a śmiercią brzemiennie:
wypełzłe dni szare
jesienne...

I idą dni ciche jak rzędy szarytek
o twarzach od gromnic promiennych
i białą kornetów szeleszczą po niebie
wyblakłym dalekiem przestrzennym —
(a oczy ich senną powieką przykryte)
— I suną dni szare jak rzędy szarytek
w gromnicach — w pogrzebie
jesiennym...

JARZĘBINY

Na reglach rdzawi się jesień —
a z ust jarzębin bucha krew.

W ciszy i słońcu drzemie wrzesień:
a jednak z trwogą, z niepokojem
drżą w słońcu złote liście drzew —
Czyżby to tylko serce moje?

W wargach jarzębin krzepnie krew.

Z czoła i z twarzy niecierpliwą dłonią
dość-żem dziś nitek pajęczyny zebrał,
a przecież świecą we włosach nad skronią
bielą i srebrem.

Cichutka jesień złota
srebrny moteczek mota —
(w kabale wyszedł as trefl)
Na szybie się trzepota
żałobny, czarny motyl —
a z ust jarzębin bucha krew.

Pod iglicami turnic, pod niebem milczącym —
jak skrzydła archanielskie — na granitach legł
w ciszy i słońcu
biały, przezysty śnieg.

Z werandy sanatorjum,
co mi jak życie obrzydło,
patrzę jak w białej glorii
świecą na drogach podniebnych
młodości mojej skrzydła.

Jesień rozpina nitki srebrne
na zwiedłych liściach drzew:
na smutnych liściach, niepotrzebnych...

W wargach jarzębin krzepnie krew.

BIAŁE MELODJE

Na błonach nietopezich cicho nad miasto nadleciał
zmierzch: zaplątał się wiotkiami skrzydłami w antenach,
ugrzął w gwiazdnej sieci —
i zwiśł nad dachów klawiaturą,
jak martwa ręka Szopena.

Księżyc w długie aleje drzew wszedł jak anioł z srebra:
dotykał złotych koron kasztanów oburącz
i grał
umarłem światłem
melancholijną, jesienną sonatę.

Szmer liści, szelest i szept
przygasał, martwiał u stóp.

Po liściach trącał srebrny flet,
fortepianowy akord wiódł —
i szedł po cichych drzewach,
po martwych gwiazdach szedł
z śnieżystym, białym śpiewem,
umarły flet.

Białe obłoki sunęły przez senną pustynię nieba,
jak duchy zaginionych w piaskach dromaderów:
nad ich grzbietami srebrny się turban kolebał —
jak żagiel łodzi, puszczonej bez steru
na mórz umarłych odmęty:
pod martwym żaglem obłąkani poeci płyną do Ziemi Świętej.

W kasztanów złotych koronach
srebrzysty flet się snuł,
opadał w miękkich półtonach
z martwemi liśćmi wdół.
W żalosalnej melancholji
plakały jesienne wirole
w pluszowych spazmach Cis-moll.

Po liści szelestnym kobiercu
pełził cień anioła śmierci
w śnie fletu srebrnego i wiol.

POLSKI LISTOPAD

Listopad szumiący złocistem listowiem
w noc ciemną zakwitnął, jak kwiat świętojański:
żywą, czerwoną krwią —
uderzył jak gradem salwami ołowiu,
zajęczał po szybach, zadzwonił o bruk —
Wśród nocy jak sztandar zaszumił gniew Pański,
wydźwignął dłoń w niebo czerwoną i krwawą,
wiejącą na smugach ciemności.
W listopad szumiący złocistem listowiem
w noc cichą — jak wichry w ulice Warszawy
wszedł Bóg
wolności.

Zawodził i szumiął, wiał liśćmi krwaweni
w szeregi idącej w mgłach szarej piechoty —
z srebrzystym szelestem przypadał ku ziemi
w pochodach konnicy i snuł się u kopyt —
zawodził i szumiął w pułkowych sztandarach
codzienny i szary
Listopad.

I płakał u mogił i jęczał w kul świcie,
rozszumiął się, rozwiódł na wichrach szeroko —
jak strzępy sztandarów skrwawione niósł liście
nad sercem spróchniałem Europy —

A widział śmierć jego — bo w ogniu umierał,
w szarzyźnie żołnierskiej niedoli —
trupiami oczyma o kuli generał
w straconych okopach na Woli.

Wychodzimy jeszcze na krótkie przechadzki za miasto
z wetkniętym w butonierkę jesiennym, białym astrem.

Owiewa nas wilgoć ziemi, woń zeschłej naci ziemniaczysk —
na miedzach ustami czerwonymi głogi szeptaają pacierz.

W modre, dalekie gór smugi, zwiewne i nikłe jak pastel
wtapiamy przygasłe oczy nad snem jesiennych astrów.

Aleją kasztanową sunie kleryków rząd senny —
szeleszcza liście umarłe swe monotonne nowenny.

Zawiewa z dali szerokiej smęt opuszczonych cmentarzysk
i ból w mgły rozwleczonych, nieujawnionych marzeń.

Wracamy wolno z astrem jesiennym w butonierce,
umierającym cicho na smutnem, wędzącym sercu.

W mroku zszarzałych ulic nad sennem, spłowiełym miastem
lamp elektrycznych kwitną jesienne, białe astry.

Z nad bloków i brył domów zębatym trójdachem
jak żubr-olbrzym się dźwiga tum świętego Jana —
jako rycerz zakuty w miedzi rdzawe blachy,
który w kornej modlitwie upadł na kolana.

Zegary jak źrenice przez przylbicy wyzier
z pod hełmu wieży patrzą groźnie i ponuro.
Dach olbrzymim, upiornym przeżegnany krzyżem,
niby płaszcz krzyżackiego Wielkiego Komtura.

Zadumał się, zasepił nad przelotem wieków,
patrząc na gruz po zamkach krzyżackich i basztach —
Słyszy jak w jego murach drga serce człowieka:
żywe, królewskie serce, krew Jana Olbrachta.

Kłęczą na Anioł Pański tum świętego Jana:
czerwonym złotem w słońcu płoną jego mury,
a wstęga Wisły zorzą szkarłatną dzierzgana
do stóp mu pada jak tren ze złota i purpury.

NA ŚMIERĆ JACKA MALCZEWSKIEGO

I poszła Twoja dusza po gościńcu złotym
(co od światła księżycy na wód fali leżał),
nie odwracając oczu, łzawych od tęsknoty:
odeszła wdał na tęczy bożego przymierza.

Na szkielecie sztalugi zwiśł szynel żołnierski.
I uśmiech w pół-bolesny zastygł w rzęs półcieniu
nad widmem rękawicy żelaznej, rycerskiej,
rzuconej w twarz bezkrwistym i mdłym pokoleniom.

Z dziadami ich łamałeś wiliżny opłatek,
przesłany w liście w białą, syberyjską głuszę:
chleb we krwi umoczony, wzniesiony nad światem,
zasłanym w bezmiar śniegiem jak białym obrusem.

Plakałeś u stóp zmarłej, świetlistej Elenai —
jak Chrystus-wybawiciel schodziłeś w katorgę —
a płomień, co w Twem sercu się krwawił i palił,
jak chorągiew zwycięstwa północną noc targał.

Ojce zaś ich kusili Cię czynszowym groszem —
jak niewierni Tomaszę kładli palec w ranę:
w otwartem sercu, twardem przykazaniem bożem,
krwawiło się płomienne, święte Zmartwychwstanie.

Patrzyłeś jako pili ze studzien zatrutych
usypiające męty: czar prochów i trumien,
gdy z tętnic Twych gorących, jako z żywych źródeł,
chleptały krew chimery i śmierci zadumy.

Orle źrenice Swoje, snać utrudzon wielce,
podsunałeś bez żalu pod palce świetliste
milczącej, cichej Pani, która w Twoje serce
umęczone patrzyła z miłością, jak Chrystus.

Nie odwróciłeś głowy, po strudze miesięcznej
odchodząc, ni Twe skrzydła w smutku nie obwisły,
ani ból w Twojej piersi, jak harfa, nie jęczał,
choć gościniec Twój złoty biegł falami Wisły.

Na szkielecie sztalugi zwiśł szynel żołnierski.
I uśmiech w półbolesny zastygł w rzęs półcieniu
nad widmem rękawicy żelaznej, rycerskiej,
rzuconej w twarz bezkrwistym i mdłym pokoleniom.

SMUTNO MI BOŻE

Przed oblęd moich źrenic szeroko rozwartych
rąk Twych okrutnych dzieła rzucasz jak przekleństwa:
szkliwem zławionych oczu z przerażenia martwych
patrzę na Twoje wielkie, straszliwe zwycięstwa —
i że Cię w Twych triumfach żadna moc nie zmoże:
smutno mi Boże.

Patrzę jak idziesz w burzy, wichurach i gradzie
przez nędzne działki roli, wąskich niw pasemka —
a chłop-nędzkarz w modlitwie w proch krzyżem się kładzie,
głodna dziatwa przed Tobą jak przed ojcem kłeka —
że Ty im chatę palisz i niszczysz w pień zboże:
smutno mi Boże.

W czarnych dymach fabrycznych: sztandarach żałoby
widzę Twą twarz jak widmo potwornych katastrof.
Szyby kopalń w noc płoną jako żywe groby
morzem srebrnych chryzantem i śmiertelnych astrów —
że w tych światłach ból ludzki i ludzka krew gorze:
smutno mi Boże.

Słyszałem Twój głos straszny w armat huraganach,
drących ciała człowiecze na sztuki i strzępy —
kiedy bagnet w atakach na żebrach się łamał
i dym gazów trujących nad światem się sępił —
że w Twe imię święcono bagnety i noże:
smutno mi Boże.

Ze w głodzie, w ogniu, wojnie wiejesz ponad ziemią,
jak cień mroczny skrzydłami o bezkresy wsparły —
że topisz nas w powodziach jak miot ślepych szczeniąt
i wyrzucasz trzęsieniem ziemi z grobu, martwych,
milcząc w najdalszym Twoim srebrnym gwiazdozbiorze:
smutno mi Boże.

Ze możesz, o Wszechmocny, dłoni podniesieniem
zatrzymać wszystkie kłęski ludzkiego rodzaju —
a Tyś wygnał nas nędznych na śmierć, na cierpienie,
stawiając archaniola z mieczem u wrót rajy —
że Cię serce przeklina, bo kochać nie może:
smutno mi Boże.

Przechodzisz opuszczony jak bolesny Chrystus,
nocą przez Kaifaszowe wrzeszczące podwórze.
Grzejemy nasze dłonie przy rojnych ogniskach,
zapierając się ciebie — nikczemnicy, tchórze.

Wodzisz za nami smutku pełnemi oczyma,
które patrzą oddalą białego Sybiru —
miastami i wioskami płonącemi w dymach,
krzyżami mogilnemi i żałobą kirów.

Patrzysz takim spojrzeniem jak na Piotra Chrystus,
przebaczającym zdradę i pełnem miłości.
Choć dziś przy Kaifaszowem siedzimy ognisku
na serc naszych opoce zbudujesz swój Kościół.

Skrzyp kijków w świeżym śniegu i lotny ślizg nart:
strzałą wdół zjazd —
szumi wiatr —
świsł, lot w białą otchłań z gwiazd — —

To tu. — Głaz granitowy z nad śniegu sterczący:
„...tu zginął
porwany śnieżną lawiną...“
Cisza. I Tatry w śniegach. I słońce.

Z turni dmą w błękit nieba pylnych kurniaw dymy.
W ciszy stoją mileżące, podniebne,
całe białe, iskrzące i srebrne,
skamieniałe, odwieczne olbrzymy.

Z pod Kościelca, lawiny łożyskiem
toczą się wdół bez szneru drobne bryłki śniegu,
znacząc ślad: tajemnicze kropeczki i kreski,
jak na wąskim pasemku alfabet Morsego.

Więc to tu. Słup granitu z nad śniegów sterczący.
Tędy szedł, dróg tatrzańskich samotny wędrowiec:
wiatr mu nucił i śpiewał, grał skrzypcowy koncert —
koncert przerwany w połowie — —

Czy cię Bóg — samotniku — po imieniu wołał?
czy duch Tatr? — cichy, święty pomazańcze boży,
gdy cię biała śmierć skryła, jak skrzydło anioła
wpośród wichrów tatrzańskich i śnieżnych bezdroży?

O tak! „Non omnis moriar“! — Nad sercami dzwoni
w słońcu i ciszy, w białej koncertowej sali
muzyka twoich pieśni i echa symfonij:
echa „Pieśni odwiecznej“, „Powracającej fali“.

Patr! Wojów skamieniałych w granitowej pysze
skuła czarem zadumy twoja pieśń przedczysta:
pieśń wichrów i płomieni i białych naciszeń —
Tatr pierwszy menestrelu, królewski lutnisto!

BOŻE NARODZENIE

Las stał cichy, ogromny jako boże Słowo,
cały w śnieżystej bieli, niepokalany, święty:
drzewa w śnieg otulone jak w skrzydła aniołów,
skamieniałych pod ciszą niemych firmamentów.

Śnieżny pył z drzew się sypał jako szmer modlitew,
jako dym snuł się senny z kadzielnic srebrzystych.
Pod białymi skrzydłami archanielskiej świty,
pod maleńką choinką narodził się Chrystus.

Kosmatemi łapkami znacząc ślad przez puchy
biegł zajęczek, przysiadł i jak słupek sterczał,
nastawiał jak wachlarze bojaźliwe słuchy —
biegł Chrystusowi złożyć chore z trwogą serce.

CHOINKA

Półmrok ametystowy, rozpylony, nikły
kłęczy na śnieżnych dachach, nad ściszeniem ulic —
wsrebrza się w szarość nieba półsenną modlitwą:
Luli Maleńki luli na piersiach Matuli...

Choinka z naprzeciówka skrzy się w lżach na rżesach,
w szreni szyb się roziskrza, w przymrozku diamentach.
Oczywiście wspomnienia i lży są bez sensu,
ale jakże jest trudno dziś o tem/pamiętać!

Mrok w pokoju. Tykanie zegara półszeptem.
Po niebie bezszelestnie przemknęły się wrony.
Żrenice w zapatrzeniu pół-lżawem okrzepły:
choinka z naprzeciówka skrzy się srebrnym szronem.

WSPOMNIENIE

Skrzypi piach pod butami na jasnej podłodze —
dłużą się czarne stoły w chłodnym refektarzu.
W mroczne mury wwiął święty czar Bożych Narodzeń,
radosny, nieujęty czar dzieciennych marzeń.

Na blaszanych talerzach po kilka orzechów,
po trzy figi, jabłuszek spierzchniętych po cztery
i nad tem czar radosnych chłopięcych uśmiechów:
setka strzyżonych główek w zakładzie dla sierot.

Jakże śliskie są perły orzechów laskowych
i jak zimne, wpuszczone ostrożnie w zanadrze?
O ileż słodsze figi, niż modlitew słowa!
Jak rozkoszne łakomstwo uważane za grzech!

Choinka jedna wspólna, odgradzona stołem,
szmerem kornetów, chrzęstem zakonnice różańców,
iskrząca się srebrnymi włosami aniołów,
płonąca w gwiazdach świeczek, w słońcach pomarańczy.

*

O niedosiężny cudzie, o bajko daleka!
obok mojego życia płoniesz szczęściem złotem —
przed znużonemi dłońmi jak motyl uciekasz,
choinko, odgradzona ongiś od sieroty.

CIE N I E

Już nie drogami lotów podniebnych zórawi
ku wam mi lecieć druhy. — Rzucam w Drogę Mleczną
ku wam serca wołanie, gdzie wśród gwiazdnych mgławic
w milczącym sercu Boga, milczy głucha wieczność.

Czyliż was sięgnę duchem w tę noc przenajświętszą,
kiedy się Bóg w miłości z człowiekiem pobratał —
was, nad których grobami mroźne wiehry jęczą
na Alp turniach lodowych: na grobowcach świata?

Nad krwią waszą i bólem trwa głazów milczenie.
Wieczny pokój męczeńskim, bezimiennym kościom! —
Wy, o wolność walczący, z walki wyzwoleni
przez śmierć — pokój wam w ciszy i światłach wieczności!

Czyli was sięgnę duchem? — was, którym wszechświaty
są pewnie mniejsze niż mnie nędzny okrucuch ziemi! —
którym czas wichroskrzydły w cichą wieczność zastygł
i jako kamień w morze padł w wieczność przestrzeni?!

Czemże wam serc człowieczych bóle i tęsknoty,
serc, drżących w niemym lęku pod mroźnych gwiazd bólem, —
wam, których Bóg już wywiódł z krzyżowej Golgoty
i łaską zapomnienia jak płaszczem otulił?

Czemże wam serc człowieczych nędze i udręki?
pytania: czy krew wasza nie poszła na marne? —
wam, przez krwawą klepsydre, przesączonym w błękit,
w bezimienne wspomnienie, w otchłanie bezmiarów?

Wspominam was: w mem ręku drży biały opłatek —
w oku Iza. — W Izach się iskrzy w niebie Droga Mleczna.
Rzucam ku wam wołanie w noc, gdzie wśród wszechświatów
w milczącym sercu Boga milczy głucha wieczność.

W GODZINĘ ODEJŚCIA

Przyjdziecie pewnie do mnie w godzinę odejścia,
jak starzy przyjaciele pożegnać się ze mną.
Nie wiem, czy was obejmie pokoiku sześcian,
ale ja was obejmę żrenicą płomienną.

Przyjdziecie z dalekości, z niepomiernej dali,
gdzieś, kiedyś wzięte w serce mdle ułamki świata —
z fali, co w wieczność przeszła, z niepowrotnej fali
wróćcie i staniecie wokół mnie na czatach.

Przyjdiesz ty, zaśnieżony zaółku ulicy
z tyrolskiego miasteczka z czasów wielkiej wojny,
któryś mżył przy latarni w mych wilgnych żrenicach
w cichą noc wigilijną w śniegu płatkach rojnych.

I ty, biała alejo, hen z Litwy dalekiej,
która sypałaś złoto z swych długich warkoczy
na czar mrącego świata, na moje powieki,
na serce, które jak czerw ból i smutek toczył.

I wy, srebrne ścierniska z równi Nowotarskiej,
pod fioletem Tatr świerszczów grające kapelą —
i ty, bryło granitu z śladem brózd, nawarstwień,
owinięta w wicher halny, w chmur i śnieżycę przelot.

Wy: drzewa, dróg zakręty i brzegi strumieni,
wśród których krąży pamięć i cicha tęsknota,
przyjdziecie wszystkie do mnie z dalekiej przestrzeni,
gdziem jeno sercem w ziemskim wędrowaniu dotarł.

Staniecie wśród przyjaciół: moich sprzętów biednych —
przywita was radosny hymn mego „Primusa“,
starego druha, który mnie z pustką pojednal
sercem, płonącym ogniem, jak serce Chrystusa.

Otworzyście mi ściany na daleki przestwór
moich błędnych wędrówek druhy, towarzysze
i złożycie na serce niebiosów królestwo:
niby lilje śnieżyste: ciszę, świętą ciszę.

GWIAZDY I MORZE

Noc mroźna, wyiskrzona, od śniegów srebrzysta
wisi nad martwym miastem, jak szmaragdowy kryształ.

Gwiazdy, o jakże ciche, dalekie, odwieczne,
jak źrenice umarłe patrzą w pustą przestrzeń.

Trwają nad światów i wieków zagasłych bezlikiem,
siejąc w serca struchlałe lęk metafizyki.

Skądś zdaleka, zdaleka, przez szklaną ciszę mrozu
słychać nikiel, odległe gwizdy parowozów.

Pędzą ekspresy nocą w dale, gdzie róże kwitną,
gdzie się w kryształach nieba przelewa móż błękitność.

O morze, nieobjęte, jak serce człowieka,
wiem, że jako kochanka, na mnie zawsze czekasz.

Ze przed tobą radosne ramiona otworzę
i wpłyniesz w moje serce, jak wielkie słowo boże.

SPIS RZECZY

Przedwiośnie	5
Zaślubiny	6
Wnętrze kościoła N. M. P. w Toruniu	7
Lipiec	8
Szaro-perłowy świt	9
Pogrzeb Marszałka Focha	10
Kraków z Kopca Kościuszki	12
Schubert	13
Twarda orka	14
Powrót	16
Żniwa	17
Nieszpory	18
Wspomnienie z Tatr	19
Na śmierć Juljana Ejsmonda	20
Postój przymusowy	22
Wyścig samochodowy	23
Krzyż	26
W dolinie Złomisk	27
Zachód słońca	28
Gościeradz	29
Ogród w mgle	30
Matka Boska Zielna	31
Krasnobrodzkie stawy	32
Nocna burza w Tatrach	33
Jesień	34
Krasnobród w mgłach jesiennych	35
Złota jesień	36

Nad Psalterzem Dawidowym	37
Dni jesienne	39
Jarzębiny	41
Białe melodje	43
Polski listopad	45
Jesienne astry	46
Kościół św. Jana w Toruniu	47
Na śmierć Jacka Malczewskiego	48
Smutno mi Boże	50
Rok 1863	52
Przy kamieniu Karłowicza w Tatrach	53
Boże Narodzenie	55
Choinka	56
Wspomnienie	57
Cienie	58
W godzinę odejścia	60
Gwiazdy i morze	62